

Tamte wakacje

Tamte, nie te ostatnie, a te sprzed lat. Słońce, jeżyny zbierane do kubka, zapach łąki, znajoma wieś, dziecięce, niekoniecznie najmądrzejsze zabawy – tak, bliskimi niemal wszystkim obrazami, zaczyna się debiutancki tom wierszy sieradzanki Arlety Cłapy „Kursywą po niebie”. Zaczyna się zatem podwójnie banalnie: poetyckim przywołaniem wspomnień dzieciństwa, w którym nie ma niczego wyjątkowego czy niezwykłego, przeciwnie: epatują one wręcz zwykłością – krajobrazu, dziecięcych pomysłów na spędzanie wolnego czasu, wreszcie, z dystansu lat – nostalgii za tym, co minęło.

Cłapa kreuje bohatera, który szuka w sobie dziecka (i odnajduje je), kreuje kogoś, kto zastanawia się nad przemijaniem i trwaniem, nad tym, kim właściwie jest teraz, czym właściwie jest dojrzewanie, na ile ciągle jest się dzieckiem – wobec żywej pamięci o przeszłości, wobec stale żywych wzruszeń z nią związanych. Pyta o to wprost w finale wiersza „Pajęcza sieć”: „a po burzy nad widnokrąg / nadciągnął śmiech dziecka. Czy to mój?”. Takie ujęcie dzieciństwa w najnowszej poezji nie jest nowe, by przypomnieć choćby jedną, ale niemal arcydzielną jego realizację w „Dzikich dzieciach”, debiutanckim tomie Krzysztofa Siwczyka (potem przyszli liczni jego naśladowcy).

Co szczególnego zatem oferuje czytelnikowi Arleta Cłapa? Wiersze umiejętnie budujące emocje, szkicujące obrazy, opowiadające anegdoty, których ważnym elementem są zapewne, nigdy nie wypowiedziane, doświadczenia osobiste. Poetka ma warsztatową biegłość, by subtelnie wprowadzić nas w „swój” świat, w krąg sobie bliskich: osób, spraw, lęków i traum. Każdy z trzynastu wierszy wypełniających pierwszą część zbioru, „Retrospekcje”, może się podobać, ba!, może poruszyć czułą strunę u wielu czytelników. Ale zestawione razem dają jednak wrażenie pewnej sztuczności, tylko dobrego literackiego „zrobienia” – i nic więcej. Bo autorka wprowadza odbiorcę w „swój” świat nie po to, żeby go głębiej eksplorować albo przekroczyć ku sensom nieoczywistym, lecz by zaraz zaprowadzić go gdzie indziej, w rejony zupełnie doń nieprzystawalne: w biografię i dokonania Vincenta van Gogha.

Druga część tomu, zatytułowana „Vincent”, na którą składa się pięć wierszy, to próby ekfrazy, przełożenia na język poezji tego, co zostało wyrażone w dziełach malarskich, w rysunku i listach van Gogha. Znowu – wiersze dobrze, z talentem i świadomością języka zrobione, nie więcej. Szukam i nie znajduję łączności między tym, co otwiera tom, a tym, co jest efektem refleksji nad postawą i wrażliwością holenderskiego postimpresjonisty. Widać jedynie tę samą warsztatową biegłość, tak jakbyśmy mieli do czynienia z prezentacją możliwości, z popisem, według zasady: „Zobaczcie, mogę pisać i tak, i tak, o tym i o czymś innym, równie zgrabnie”.

A może kłamrą – i wyjaśnieniem tego, co dotąd było niejasne i niemile zaskakujące – będzie najdłuższa, zawierająca siedemnaście liryków część trzecia, „Barwy dopełniające”? Jej tytuł zdaje się przecież to obiecywać. Ale, moim zdaniem, obietnicy jednak nie spełnia. Najpierw natrafiamy tu na utwór o charakterze metapoetyckim, będący rodzajem autorskiego programu, opisem aprobowanej i uprawianej przez poetkę wizji liryki:

Wiersz

*zajmuje tak mało miejsca
a tak wiele znaków –*

plot wiatrem przechylony

*jałowy bieg księżycy żeremie
na bagnach dziecięca rana
którą goi chuch matki
nazbyt ciche dzwonki przebiśniegu*

*płatek śniegu
osuwający lawinę*

Bardzo to samoświadome. Jest w utworze wszystko, co konstytuuje poezję Cłapy: czuły i swojski krajobraz oraz potrzeba bliskości, a w innym porządku – mocna nowofalowa przerzutnia. I jest też pewien naddatek... Po co te wszystkie słowa? Po co to wątpliwe wprowadzenie, ta banalna formułka w pierwszym dwuwersie? Czy nie wystarczyłyby dwa ostatnie wersy? Jest w nich wszystko, co napisane wcześniej.

Większość kolejnych wierszy trzeciej części to próba zapisu poszukiwań metafizycznych, czasem wprost religijnych. Są deklaracją pascalowskiego zagubienia i chrześcijańskiej wiary. Poruszające, ale znów – są jakoś w warstwie obrazowania, poprzez użyte środki oczywiste i przewidywalne.

„Kursywą po niebie” nie warto pisać. Za duża to przestrzeń i za dużo do powiedzenia na raz. Nikt by chyba nie dał rady. Szkoda, że autorka nie zdecydowała się na uspojnienie debiutanckiego tomu, na pokazanie siebie – jako zdolnej poetki – jednej, a nie rozmienionej między różne tematy i chwytły. Nie tracę nadziei: mimo wszystko warto poczekać na kolejny jej tom. Jak mawiają w anglojęzycznych programach poradnikowych o architekturze wnętrz czy o kuchni: ta poezja „ma potencjał”. Może tylko pierwsza próba została zmarnowana?

Tomasz Cieślak

Arleta Cłapa „Kursywą po niebie”, Wydawnictwo Kwadratura, Łódzki Dom Kultury. Łódź 2016.